TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 23. *Chicago, Ills., 2 Grudnia, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

Tak jest, nigdy nie kochał, — rzekła głośniej Marya; i w ciężkim smutku pogrążona spuściła oko ku ziemi, z którego łzy na złożone jej ręce spadły. Po długiej chwili tej cichej boleści, porwała się z miejsca i osuszając łzy, które za świadki swej winy poczytywała, pomyślała sobie:

— I ja dla niego mogłam poświęcić człowieka najszlachetniejszych uczuć, który życie swoje dla mnie narażał, który niewątpliwie dowiódł, czem dla kraju być może? Dla niegożto ja stałam się wiarołomną, jemu poświęciłam drogą mi pamięć ojca mojego, i w występną odwłokę spełnienie jego ostatniej woli puścić mogłam? i teraz się jeszcze waham co czynić, stoję łzami zalana, jakbym żałowała tego, iż mi zasłona z ócz spadła; zdaje się, jak gdyby mi zbywało na odwadze do wykonania tego, czego najszlachetniejsze uczucia po mnie wymagają. Mamże jeszcze bardziej zaniedbać obo-

wiązki moje, obowiązki, które na mnie wdzięczność i honor wkładają, a zastraszona próżnemi groźbami, nie dopominać się sprawiedliwości i pozostać dłużej u tego dworu, gdzie dopiero co najdotkliwszą obrazę znieść musiałam? Nie, okażę się godną i ojca, który mnie na polu chwały osierocił, i przyjaciela, którego on dla mnie przeznaczył.

Po takim namyśle siadła Marya do stolika i napisała list żalu i skruchy do ciotki swojej, w którym ją upraszała najusilniej, ażeby niezwłocznie przybyła do Warszawy odebrać ją ze dworu. List ten za pośrednictwem służącej swojej natychmiast przez umyślnego posłańca odesłała; sama zaś wzięła na siebie pozór pokory i uległości w obec ochmistrzyni dworu, ażeby uniknąć dostrzeżonego już przez siebie śledzenia wszelkich postępków swoich i odzyskać przystęp do pokojów królewskich, który jej na pewien czas za karę był odmówiony.

Tymczasem nastąpił powrót dworu do stolicy, była to właśnie pora, do której Marya wykonanie swoich zamiarów odłożyć musiała; nie mogła bowiem nic skutecznie działać dla Ruszczyca póty, pókiby nie miała schronienia, do któregoby się udać mogła, porzuciwszy dwór królewski. W niepewności, czy ciotka dość wcześnie na jej wezwanie przybędzie, postanowiła schronić się do klasztoru PP. Sakramentek, za przybyciem swoim do stolicy, wykonawszy wprzódy to, czego jej wyraźnie królowa zakazała.

Lecz troskliwa podkomorzyna, zatrwożona listem, w którym panował ten nieład i owa gwałtowność uczuć, jakiemi przed jego napisaniem Marya przejęta była, z największym pospiechem dom swój opuściła i w krótce po powrocie dworu do stolicy przybyła. Z dziecinną radością powitała ją Marya, i po wynurzeniu wzajemnych uczuć, po wyjawieniu tego wszystkiego, co zgryzot Maryi przyczyną było, uprosiła ciotkę, ażeby niezwłocznie wniosła prośbę do królowej o uwolnienie jej od dalszych obowiązków u dworu.

Uwolnienie to łatwo było uzyskać: raz dla tego, że Marya miała słuszne powody żądania onegoż, drugi raz że ochmistrzyni dworu dawno już pragnęła widzieć miejsce wakujące między pannami dworskiemi, dla krewnej swojej niedawno z Francyi przybyłej. Do tego jeszcze zdawało się królowej, że oddalenie się Maryi będzie środkiem ukończenia wszelkich zatargów i plotek, do których wiadomy wypadek Mondora powód nastręczył.

Uzyskawszy więc żądane pozwolenie oddalenia się ze dworu, prosiła jeszcze o posłuchanie pożegnania, i postanowiła po raz ostatni pokazać się u dworu.

Gdy ten dzień nadszedł, dołożyła Marya największego starania w ubiorze swoim, i nie bez żalu przeglądała się w zwierciadle, przypatrując się po raz ostatni temu dworskiemu strojowi, który jej tak był do twarzy, w którym niegdy tylu wielbicieli jej wdzięki wynosiło. Będąc już od dwóch dni u swojej ciotki, pojechała z nią razem do Wilanowa, i gdy wyjeżdżała na dziedziniec zamkowy, dziwną jej się zdawało rzeczą, iż jako obca przybywa do tego zamku, gdzie przed upłynieniem krótkiego przeciągu czasu jako uczestniczka domu królewskiego przebywała. Gdy weszła do zamku, witali ją po drodze znajomi dworzanie: niżsi z wyrazem żalu wzbudzonego przez to, iż postradali tę, której względów i dobroczynności nie raz doznawali, a wyżsi z podobnem uczuciem dla tego, że w niej dwór ozdobę swoją tracił. Smutne uczucie przejęło jej serce, gdy przechodziła przez przysionki i pokoje, w których niegdyś zabawy monarsze dzieliła i wśród nich zwodniczą nadzieją błędne uczucie karmiła. Przykro jej było patrzeć na podwoje od dalszych pokojów królewskich, teraz zamknięte i dla niej nieprzystępne, i wspomnieć na to, iż tyle jej towarzyszek ma w tej chwili pierwszeństwo przed nią i pewną wyższość, którą jej bez wątpienia za ukazaniem się swojem uczuć dadzą. Nieprzyjemne były dla niej żale przez obecnych wynurzane z powodu jej oddalenia się ze dworu, nużące badania przyczyn dla których to nastąpiło, tak iż z upragnieniem wyglądała chwili okazania się królestwa, ażeby się od tych przykrych wrażeń uwolnić.

Nastąpiła wkrótce oczekiwana chwila; mocno serce Maryi bić zaczęło, gdy się podwoje otworzyły i dworzanie króla poprzedzać zaczęli. Uczucie upokorzenia przejęło jej umysł, gdy ją damy dworskie z pewnym wyrazem urągania mijały; lecz żywy rumieniec okrył lica, gdy się królestwo Ichmości okazali, a zwłaszcza gdy za niemi księcia Jakóba spostrzegła. Świadomy wszelkich stosunków byłby wyczytał na twarzy Maryi największe pomięszanie i najżywszą

walkę wewnętrznego uczucia, któreby może było przemogło nad stałością umysłu, gdyby królewicz był choć tak jak dawniej zbliżył się do niej i uprzejmie z nią rozmawiał, albo przynajmniej jakiegokolwiek udziału dał oznaki. Lecz on pozostał na brzegu sali i zajął się rozmową z dwoma panami dworskimi, którzy mu mieli towarzyszyć wkrótce nastąpić mającej podróży do Berlina, i przy tem zupełnie był obojętny na to, co się opodal niego działo. Ta okoliczność dodała jej odwagi, i gdy król dawszy posłuchanie celniejszym panom ku niej się zbliżył i kilka słów uprzejmych z powodu jej oddalenia się przemówił, przyklękła przed nim rozrzewniona Marya i rzekła:

— Miłościwy królu! Ty, którego wielkość od dzieciństwa uwielbiać nawykłam, Ty najłaskawszy Panie, któryś się raczył opiekować sierotą, racz dozwolić, ażebym oddalając się od przybytków wielkości Twojej, raz jeszcze do Ciebie pokorną prośbę zaniosła. Nieodżałowany mój ojciec mawiał mi zawsze, że Ty królu wiernych sług Twoich kochać i nagradzać umiesz; z ufnością przeto wnoszę prośbę moję za tym, który miał być mężem i ojcem dla mnie, a który się zawsze do twoich wiernych liczy: błagam łaski twojej N. Panie za uwięzionym Ruszczycem.

— Za uwięzionym Ruszczycem? — zapytał król zdziwiony podając rękę Maryi na znak aby powstała — ja o tem nic nie wiem — i dodał obracając się do marszałka — cóżto się stało, co za powód do tego?

— Pod niebytność W. K. Mci — rzekł marszałek, poglądając z uszanowaniem na królowę, która się była ku nim zbliżyła — zapadł wyrok sądowy skazujący brygadyera Ruszczyca na wieżę, za wyzwanie na pojedynek dworzanina W. K. M.

— Dla czegoż się zaraz do mojej łaski nie odwołał? — zapytał król dalej.

Marszałek zamilkł i spuścił oczy, aby nie spotkać wejrzenia królowej, która przybrawszy powierzchowność łaskawości rzekła:

— Lubo niewczesne uniesienie brygadyera Ruszczyca niełaskę moję na niego ściągnąćby powinno, gdyż tu rzecz szła o mego dworzanina; przebaczam mu wszelakoż z całego serca i proszę W. K. Mci, abyś raczył go ułaskawić i wysłuchać prośbę panny Modrzejowskiej.

Król uśmiechnął się uprzejmie do małżonki swojej, jakby chciał okazać ukontentowanie swoje za ten dowód łaskawości z jej strony, i przyrzekł Maryi rychłe uskutecznienie tego o co prosiła. Królowa przeszła dalej, darząc ją i podkomorzynę lekkiem skinieniem głowy i wyrazem niby uprzejmej przychylności, który wewnętrznej niechęci zupełnie pokryć nie zdołał.

Wkrótce potem skończyły się pokoje dworskie. Książę Jakób do końca nie zważał wcale na Maryą, i przechodząc przez pokój tak bardzo był zajęty rozmową z przybyłym z Berlina Francuzem, iż przeszedł nawet koło Maryi i wcale jej nie zważał. Gdy go z daleka idącego ku sobie spostrzegła, wątła jakaś otucha przez nawyknienie do dawnych uczuć wzbudzona zajęła umysł Maryi. Wzruszenie jej było widoczne, rumieniec wystąpił na twarzy, nie śmiała spojrzeć na zbliżającego się księcia, oczy spuszczała na ziemię i była w największem pomieszaniu, nie mogąc sobie zdać sprawy, jakie uczucie w niej przemaga: czy obawa wystawienia się na nową walkę namiętności, czy też nadzieja, że się książe w jej oczach usprawiedliwić potrafi. Lecz gdy, będąc w tak gwałtownem poruszeniu, spostrzegła, iż ją minął i wcale na nią ócz nie zwrócił, gdy śledząc za nim tęsknem okiem, widziała jak za rodzicami szedł do dalszych pokojów, ciężki smutek ogarnął jej serce, tak iżby była rada rzewnie zapłakać, gdyby nie miała tylu świadków swojej słabości, a obawiając się, ażeby ktoś nie odkrył jej wzruszenia, wzięła żywo podkomorzynę za rękę i rzekła pomieszana:

— Ach ciotko! już wszyscy wyszli, my ostatnie zostaniem, oddalmy się czemprędzej.... Ach! jak tu duszno, jak zgiełk ten głuszy i odurza.... potrzebuję odetchnąć świeżem powietrzem.

ROZDZIAŁ XXI.

Otóż dwór, Joachimie, z skutków i z zadatków:
Temi ścieżki iść musi, kto się dworu trzyma.
Wsi swobodna! szczęśliwy kto ciebie się ima,

Niekształtne twoje zyski, prawda, ale trwałe;
Niech dwór stawia złudzonym widoki wspaniałe;
Niechaj cieszy nadzieją; niźli się ta ziści,
Lepsze małe, lecz pewne wieśniacze korzyści.

Krasicki Sat.

Tego samego dnia jeszcze pospieszył Jordan do więzienia Ruszczyca donieść mu o łasce królewskiej, którą dla niego Marya wyjednała. Zastał go zamyślonego i smutniejszego jak go zwykle od czasu powrotu swego z Grodna widywał. Przypisując to zasmucenie nudom i przykrzeniu sobie więzienia, rzekł wchodząc:

— Rozmarszcz Damianie czoło, bądź dobrej myśli, niosę ci pocieszającą nowinę, która dwór cały cieszy: król ułaskawić cię postanowił.

Obojętnie powstał z miejsca Ruszczyc, postąpił kilka kroków na przeciw przyjacielowi, ścisnął mu mocno rękę i rzekł:

— Dziękuję ci za szczery udział w mojej niedoli; twoja przyjaźń jest dla mnie najmilszą pociechą, ty należysz do tych rzadkich, którym ufać, na których polegać można.

— Ale twoje czoło jeszcze zasępione, ciebie odzyskana wolność nie rozwesela, czyliżeś nie dosłyszał com powiedział? Król cię ułaskawił, jutro więzienie opuścisz.

— Wiem i zrozumiałem. Mało mię to obchodzi, czy jutro czy za kilka miesięcy ztąd wyjdę. Czegoż mi tu nie dostaje? Mam wygody wszelkie, towarzystwo dobrane i dobrych przyjaciół wielu, którzyby mi pustynię w raj zamienić zdołali; a łaska spóźniona przestaje być łaską. Jedno z dwojga: albom jej nie był godzień dla wielkości przewinienia, a wtenczas, ani dziś, ani jutro, ani dniem wprzódy spełnieniem wyroku, nie godziło się łaski świadczyć winowajcy; albo też byłem godzien względów, a wtenczas nietrzeba było dopuścić, aby mnie sąd przestępcą mianował.

— Damianie! ty obwiniasz naszego dobrego Pana, ty utyskiwasz na ukochanego monarchę! może nawet ostygło w twem sercu przywiązanie ku niemu, a nie pomniesz na to, że król do dziś dnia o niczem nie wiedział.

— Domyślałem się tego, i to jedyną było pociechą. Ja na króla nie narzekam, równie mu zawsze wiernym, równie do niego przywiązanym jestem; ale mnie to boli właśnie, że się cośkolwiek w kraju bez wiedzy jego dzieje. O kobiety! kobiety! Szczęśliw kto waszej przemocy uniknąć może.

— Cóż robić, zapomnij o tem; czemu zaradzić trudno, nad tem próżno ubolewać. Królowa zapewne....

— One wszystkie takie — przerwał Ruszczyc i zamilkł.

— Skądże ta niechęć ku wszystkim, ty przynajmniej nie masz powodu użalenia się na kobiety.

— Ja nie mam powodu?— rzekł z gorzkim uśmiechem Ruszczyc. — Zapewne nigdybym się nie był spodziewał, ażeby ta, której zawsze najszlachetniejsze przypisywałem uczucia, mogła być zdolną okazania obojętności względem mnie, a tym mniej jeszcze, aby mogła kiedykolwiek być niewdzięczną.

— Cóż to; czy do Maryi ściągać się mają te wyrzuty? o jakże mylne uwodzą cię wieści! jak możesz tak łatwo dać wiarę plotkom podobnym.

— Nie, ja nie jestem łatwowiernym; potwarz do mnie przystępu nie znajdzie, ale temu wierzę o czem się przekonam.

— O czemżeś się mógł przekonać wśród murów twego więzienia, nieświadom tego co się na dworze działo?

— Widziałżeś wchodząc do mnie w przedsionku starego sługę mego chorobą złożonego? On był w Grodnie, on widział co się tam działo, cierpiał za mnie.... a zdanie wiernej prostoty podejrzanem być nie może.

Uśmiechnął się na to Jordan i rzekł: — I ty wierzysz temu, co ci prosty człowiek, nie mogący mieć żadnego przystępu do dworu, doniósł?

— Posłuchaj cierpliwie, a potem dopiero sądź, czy należy zawierzać jego powieści. Bez mojej wiedzy, uniesiony gorliwą chęcią służenia Panu swemu, udał się mój stary sługa do Grodna. Przypadek zdarzył, że natrafił na Pannę Modrzejowską, która mu obiecała ułatwić przystęp do króla; a jednak potem obojętnem okiem na to patrzała, gdy go siepacze dworscy katowali i z miasta wygnali. Widział ją wtedy gdy go u bramy zamkowej schwytano, bo właśnie przez dziedziniec przechodziła; wzywał jej pomocy, lecz ona minęła obojętnie i nie ujęła się za tym, który cierpiał przez przychylność dla swojego pana. Nie, Jordanie, czyn ten szlachetnej duszy nie oznacza; nie dowodzi tego, aby Ruszczyc był w dobrej pamięci u tej, od której mu się przynajmniej wdzięczność należy.

— Nie wiem wprawdzie co się słudze twemu w Grodnie przytrafić mogło, bo wróciłem tutaj wcześniej od reszty dworu, z rozkazu królewskiego, i musiało mnie już tam nie być wówczas, gdy on tej doznał przykrości; lecz o tem jestem najmocniej przekonany, że Maryą posądzasz, gdyż dzisiaj sam byłem świadkiem tego, jak do nóg królowi upadła i łaski jego dla ciebie błagała, a potem na zawsze dwór porzuciła.

— Jakto — zawołał Ruszczyc — Marya oddaliła się ze dworu? cóż jej do tego mogło być powodem?

— Ta właśnie przychylność i wdzięczność dla ciebie, które ty jej odmawiasz. Słuchaj i wyznaj potem, żeś był niesprawiedliwy, bo po oddaleniu się Maryi ze dworu wyjawione zostały powody, które ją do opuszczenia onegoż skłoniły.

Dalszy ciąg nastąpi).

JAN PŁUŻEK.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

NAPISAŁ

MIECZYSŁAW Z POZNANIA.

(Dokończenie.)

Tak znowu kilka lat przeszło w chatce Janka, nic się w niej nie zmieniło. Żona zrzędziła na męża, Czesława i całą dziatwę z pierwszej żony, własnych dzieci nie miała; a gdyby nie roztropność Janka, byłoby nieraz przyszło do obrazy Bozkiej, do kłótni lub co gorsza kułaków. Że przy tem gospodarstwo mocno cierpiało, łacno sobie wystawić. Skłopotany Janek nie umiał już tak pracować, jak za życia zgodnej, kochającej go szczerze Hanusi; to też lubo miał już wielkie wyręczenie ze Stacha, co na silnego wyrósł chłopaka, bieda nieraz zaglądała przez szczeliny pochylonej od starości chaty. Nie było ładu w całem gospodarstwie, chociaż i Jagna i Stach starali się jak mogli: nie wiele to pomogło, bo kłótliwa macocha wszystko robiła na przekór, nikt jej nie mógł dogodzić. Oj! biada temu domowi, w którym nie ma zgody, dla tego starajmy się wszyscy o zgodę, jak o najdroższy skarb. Rodzina zgodna, trzeźwa i pracowita, nigdy nie podupadnie i z najgorszej wyjdzie nędzy; przeciwnie człowiek, chociażby dostatni, zniszczeje przy niezgodzie domowej i opilstwie. Lecz wróćmy się do na-

szego Janka, co biedę, jak to mówią, popychał jak mógł, lubo wśród ustawicznych swarów żony, ledwie sił mu starczyło, i coraz gorzej było w domu.

Mianowicie w piątym roku pożycia małżeńskiego z drugą żoną trapiła go zbliżająca się zima, bo żniwa ostatnie nie dopisały. Skłopatany dumał nad swoją biedą a śnieg grubemi płatami padał na dworze, zimny wiatr gwizdał przez szczeliny, zima na dobre się rozpoczęła. Znajomy kruk wleciał do izby, usiadł wedle zwyczaju Jankowi na ramię, skoczył na piec, lecz nie kraknął ani razu na przywitanie, jak innemi laty.

— Chodź Macioś, chodź, — wołały dzieci, — czemu nie mówisz? z nami się nie witasz? — a kruk skakał z miejsca na miejsce i milczał. Wreszcie spostrzegli, że kruk trzyma w dzióbie coś świecącego.

— To złoto, — zawołała żona Janka. — odbierz mu; — a kruk jak gdyby zrozumiał o co chodzi, skoczył Jankowi na ramię i puścił na rękę wielki pierścień ze szczerego złota z drogim kamieniem w środku. Wszyscy poczęli pierścień oglądać i cieszyć się. Janek tylko prawie jeszcze bardziej posmutniał, gdyż pomyślał, że pierścień należy oddać właścicielowi, a gdzie go znaleść? Głośno wypowiedział co myślał a żona odburknęła:

— Jeszczebyteż oddawać skarb, kiedy sam do rąk przyszedł, oj! toż widocznie Bóg ulitował się nad nami i przez kruka daje nam złoto, byśmy je wymienili na sól i zboże.

Janek jednak nie słuchał słów żony, owszem zganił jej tę chciwość, i bądź co bądź postanowił wszelkich dołożyć starań, by rzeczywistego właściciela odszukać. Gniewała się mocno żona na tę poczciwość Janka, gadała nań, lecz to nic nie pomogło. Sumienny Janek nie słuchał gadania żony i podszeptów złego ducha, co przez nią mówił, ale przeciwnie ubrał się w lepszą kapotę, obwinął pierścień w kawał szmaty i poszedł do najbliżej mieszkającego księdza po radę. Wychodząc zaś z domu zabrał Czesia ze sobą, bo lękał się, aby nieukontentowana żona gniewu swego nie wywarła na niewinnym chłopcu, jak się to już nieraz zdarzyło.

Dobrze się już zmierzchło, gdy przybył do mieszkania księdza, gdzie zastał licznych gości. Byli to panowie, co w okolicznych lasach przez cały dzień polowali, a teraz po skończonych łowach, by nie marznąć na dworze, wieczerzali w domu księdza; oni sami mieszkali o kilka mil. Owemi czasy bowiem, gdy wsi i miast nie było tak wiele, gęste lasy pełne grubego zwierza wszędzie się niemal znajdowały. Przodkowie zaś nasi lubili łowy, i zjeżdżali się na nie w czasach spokojnych nieraz o kilkadziesiąt mil. I na owem polowaniu było kilku panów z bardzo dalekich stron, a wszyscy bardzo przyjemni, rozmowni, weseli. To też gdy spostrzegli Janka, mile go powitali, zaprosili na pieczeń niedźwiedzią. Janek podziękował za grzeczność, wypił podaną mu lampkę miodu i głośno opowiedział, co go sprowadziło.

— To mój pierścień, co go dostałem od króla po wyprawie czeskiej; znaczny bo wewnątrz ma wyrytego orła polskiego, a zewnątrz kosztowny dyament; — zawołał ktoś z obecnych. Dzisiaj rano zgubiłem go na polowaniu, a kruk przypadkiem go zobaczył, podniósł z ziemi i wam panie bracie zaniósł.

Przekonano się, że to rzeczywiście był ów pierścień, nieznajomy ucieszył się niezmiernie, ściskał i całował poczciwego Płużka.

— Mów, jakiej żądasz nagrody, a chętnie dam, gdyż pierścień ten ma niezmierną wartość, mówił do Janka. Lecz nic nie chciał przyjąć, mówiąc, że tylko powinność swą wypełnił oddając rzecz znalezioną właścicielowi. Bóg jednakże większą mu przygotował nagrodę, niż ludzie mu dać mogli, bo gdy nasycony chciał odchodzić i żegnał się z biesiadującymi myśliwcami, zauważył któryś w Czesławie niezmierne podobieństwo do swego synka.

— Jak dwie krople wody podobniuteńki do mego, tylko, że ten trochę starszy, ale mój Czesio, gdyby żył byłby w tym samym wieku. Jakże na imię waszemu chłopcu? — mówił nieznajomy.

— Podobno, że Czesław, bo to nie mój własny, tylko przybrany, — odrzekł Janek.

— A zkądże jego ojciec? — pytał niecierpliwie nieznajomy.

— A Bóg raczy wiedzieć, — odparł Janek, — to sierota, może i ma ojca, lecz gdzie nie wiem; już cztery lata jest w moim domu, — zaczął opowiadać całe zdarzenie, jak Wawrzyn zajechał przed jego domek, jak nagle umarł, a Czesio u niego pozostał. Nie skończył jeszcze a nieznajomy skoczył z ławy, schwycił Czesia za szyję i ściskając zawołał:

— To mój syn, to mój Czesio!

Nie będę wam moi mili czytelnicy opisywał tego przywitania, tych uścisków i zapytań. Janek musiał z wszystkimi pozostać; wśród ożywionej gawędki o dawniejszych czasach poznał w niejednym z obecnych swego towarzysza broni z wojny niemieckiej. Całą noc rozprawiano, a gdy się nieznajomi dowiedzieli, że stodoła Janka próżna, że głód dokucza jego rodzinie, zawieźli mu wszystką upolowaną zwierzynę, a było jej nie mało, nadto przyrzekli mu przywieźć po kilka wozów zboża.

Następnego dnia, po znalezieniu prawdziwego ojca naszego Czesława, pojechało całe towarzystwo myśliwskie do chaty Jankowej, a ojciec Czesia, który był wojewodą i bardzo bogatym panem, odwdzięczając się Jankowi, że ten przez długie lata utrzymywał Czesia, chciał aby Płużek z całą rodziną do niego się przeprowadził. Atoli Janek przywiązany do ziemi ojców, do wioski, w której wychował się, wzrósł i ożenił, w której pomarli jego ojciec, dziad i pradziad, o tem słuchać nie chciał. Wolał pozostać w swej pochylonej chatce, niż przesiedlać się do zamku wojewody.

Tak mocno, moi kochani, poczciwy Jan Płużek kochał swą chatkę i ziemię własną, że lubo mu nieraz tutaj głód dokuczał, wolał w nich zostać, niż przesiedlać się w dalekie strony, gdzie go czekały wszelkie wygody. Nie jeden mógłby sobie wziąść i w tej mierze Janka za przykład do naśladowania, mianowicie ci, co ułudzeni kłamliwemi opisami, sprzedają za byle co cudzoziemcom posiadłość swą, a wędrują gdzieś aż do Ameryki, jak gdyby tutaj dla nich chleba zabrakło. Pilno im porzucić ziemię ojczystą, zlaną krwią i potem ojców, porzucić groby swych rodziców, chaty, w których wzrośli, przyjaciół i krewnych, z którymi przez tyle lat się znali i żyli, a spieszą w strony nieznane, gdzie ich nikt nie zrozumie, gdzie im nikt w przypadku ręki nie poda, nikt nie pozdrowi, nie pocieszy, gdzie wśród tysięcy ludzi będą jakby sami, będą obcy. I dla tego, aby być tam w obczyźnie jak gdyby na wygnaniu, sprzedają ziemię ojców cudzoziemcom — to już trzeba nie mieć rozsądku i serca. Słusznie też powiadają ludzie, że gdy Bóg kogo chce ukarać, to mu rozum odbierze; lecz zaprawdę, ci bezrozumni, co dla krain nieznanych, dalekich, opuszczają ziemię swoją, sprawiedliwą karę odbiorą. Lecz wróćmy się do rodziny Janka.

Na silne prośby Czesia i jego ojca zezwolił Płużek, na to, że dwaj najmłodsi synowie: Wojtuś rówiennik Czesia i nieco starszy Kazimierz pojechali razem z Czesławem, lecz pod warunkiem, aby przynajmniej dwa razy rocznie przyjeżdżali odwiedzić Janka i wioskę rodzinną. Tak zatem Czesio wyjeżdżając z Cieplin, z domu swego przybranego ojca, wiózł z sobą Wojtusia i Kazimierza.

VI.

Zakończenie.

Radość wielka panowała w domu wojewody z powrotu Czesława; matka i wszyscy domownicy cieszyli się w tego cudownego znalezienia syna, o którym myśleli, że już nie żyje. Czesio musiał wszystkim opowiadać co mu się przydarzyło od chwili, gdy ze starym Wawrzynem opuścił dom rodzicielski, by się udać do daleko mieszkającej ciotki. Mały chłopczyna nie wszystko pamiętał, lecz szczególniej musiał opowiedzieć o domu Płużka, gdzie go wszyscy bardzo kochali. Opowiadając całował Kazia i Wojtusia, których kochał, jak gdyby byli jego rodzonymi braćmi, ba żywiej nawet do swego braciszka, Mieczysława, co się właśnie urodził, gdy Czesio dom rodzicielski opuścił, i siostrzycki, imieniem Helena, młodszej o dwa lata od Mieczysława, wcale dotychczas nie znał. Teraz dopiero poznały się dzieci i serdecznie nawzajem się pokochały; nie tylko z Czesiem ale i z Kaziem i Wojtusiem, synami Płużka. Dzieci Janka też zasługiwały na tę miłość a matka Czesia, pani wojewodzina, tak je pokochała, że gdy nadszedł czas, w którym Wojtuś i Kazio mieli odwiedzić dom rodzicielski, a Czesław uprosił ojca swego, że mu pozwolił im towarzyszyć, odwiedzić Janka, wtedy pani wojewodzina sama

z niemi pojechała. Na drogę zabrała ze sobą nietylko kilka wozów mięsiwa, jarzyn i różnych specyałów, ale nadto śliczne podarunki dla Płużka, dla żony jego i pozostałych w domu dzieci. Z dobrze wyładowanemi wozami zajechali przed domek Janka, gdy właśnie przygotowano do wesela Jagny, z sąsiadem Marcinem Ochotą. Czekano tylko na przybycie Wojtusia i Kazia, gdyż Janek chciał, aby przy tak ważnej uroczystości wszystkie dzieci były obecne. Teraz więc po przybyciu ich dłużej nie zwlekano, lecz odprawiono sute wesele, na którem naturalnie prócz wielu innych gości i wojewodzina się znajdowała.

Tak poznała pani wojewodzina rodzinę Płużków, w której Czesio był przez kilka lat jak syn ich, Janek zaś poznał wojewodzinę, która teraz dwom jego najmłodszym synom zastępowała miejsce matki. Że wojewodzina serdecznie polubiła całą rodzinę poczciwego Janka, nie potrzebuję wam pewnie wspominać, bo jakże nie pokochać ludzi pracowitych, poczciwych, a chociaż niezamożnych, litujących się nad dolą sieroty.

Żona Janka, zawstydzona dobrocią wojewodziny, która i dla niej przywiozła podarunki, żałowała szczerze, że się czasami w gniewie nienajlepiej obchodziła z Czesiem, że go może niesłusznie czasem ukarała.

— Nie gniewajcie się pani, że waszego Czesia nieraz wyszturchałam, chociaż prawdą a Bogiem nigdy na to nie zasłużył, bo to takie potulne, pracowite dziecisko. Popędliwością moją zawiniłam, a wy mnie pani wojewodzino, tego nie pamiętajcie — nie gniewajcie się na mnie, ale podarunków na które nie zasłużyłam, przyjąć nie mogę.

— Nie mów tego moja kochana, rzekła wojewodzina, dziecku nie szkodzi, jak czasem dostanie szturchańca, mianowicie jeżeli dziecko jest nieusłuchanem, krnąbrnem, leniwem, lub co jeszcze prawie gorsza, jeżeli kłamie. Rózga to jedyne lekarstwo; i waszego Wojtusia raz już ukarałam, chociaż nie jestem jego matką, a przecież tego mi za złe ani wy, ani wasz mąż nie weźmiecie. Nie róbcie też mnie przykrości, i proszę przyjmijcie na pamiątkę, to co wam szczerem sercem ofiaruję.

Nie mogła się dłużej żona Janka wymawiać; przyjęła ofiarowaną kopę płótna i śliczny kożuch z lisich i bobrowych skór, lecz zawstydzona dobrocią wojewodziny, zamyśliła się nad swoją popędliwością, poznała swoją wadę i postanowiła się naprawić. Mając przez kilka dni przed oczyma swemi dobry przykład, nie trudno jej było postanowienie to wykonać.

Szybko minęły dziewięć dni pobytu wojewodziny, Czesia i tych dwóch chłopczyków Płużka; nadeszła chwila czułego pożegnania, przebrzmiały śpiewy weselnego obrzędu Jagny z młodym Ochotą, a chata Janka znowu się stała samotną, lecz spokojniejszą niż przedtem, gdyż żona wierna swemu postanowieniu, by odtąd omijać wszelkich zwad, starała się omijać wszystko to, coby mogło kłótnie spowodować. Trudno to odzwyczaić się od jakiego nałogu, lecz przy silnej woli byle raz zacząć, to reszta sama się znajdzie. Płużkowa zaś nie leniła się rozpocząć; przeprosiła męża, ba nawet chociaż macocha, zdjęła pychę ze serca i prosiła dwoje starszych dzieci, aby gniewu ku niej nie miały, że się czasami zbyt ostro z niemi obchodziła. Nikt w domu: ani Płużek ani Stach, ani Jagna nie pojmowali tej zmiany. Płużek uradowany uściskał żonę, a dzieci ucałowały ręce, uściskały kolana macochy, przepraszając ją wzajemnie. Od tej chwili zupełna zgoda panowała w domu Janka, odtąd nikt złego słowa tam nie słyszał, a szczęście jakie było za życia pierwszej żony, dobrej Hani, na nowo wróciło w progi Płużka. Powoli znalazł się i dostatek i wesołość. To był skutek odwiedzin wojewodziny z dziećmi, a odwiedziny te były jakoby nagrodą za wychowanie sieroty, była to wielka nagroda, bo szczęście domowe.

Bóg do szczęścia tego, by było w pełni, przeznaczył jeszcze co więcej. Wojewoda bowiem, który z ust Janka jeszcze wśród owej wieczerzy po polowaniu, dowiedział się o jego ranie otrzymanej w bitwie pod Wrocławiem na „psiem polu", otóż teraz w czasie swego pobytu w Krakowie na zamku królewskim, opowiedział wszystko dobremu Bolesławowi, wspomniał o niedostatku, jaki cierpiał Janek. Wspaniałomyślny król chcąc wynagrodzić przez tyle lat zapomnianego wojownika udarował Janka dwoma ładnemi wioskami a najstarszego syna Stanisława przyjął do dworu swego.

Widzieliśmy szczęście domowe Janka, szczęście które teraz wśród dobrego powodzenia jeszcze się pomnożyło; słyszeliśmy jaką nagrodę otrzymał za swą waleczność, poczciwość i do-

broć serca. Dzieci dobrze mu się wykierowały: Jagna była szczęśliwą ze swym mężem, Ochotą; Stanisław na dworze królewskim, dwaj najmłodsi Kazimierz i Wojtuś na wychowaniu w domu wojewody, razem z jego Czesiem się kształcili; a dwóch nieco starszych: Mieczysław i Bożywój dobrze się uczyli w szkole krakowskiej. Janek mając teraz zasoby, wysłał dzieci na nauki, aby nie wyrosły jak głąby.

Dawna to gadka, że jak nieszczęście, to nigdy jedno; lecz i jak szczęście to już jedno za drugiem — tak było i w domu Płużka.

(Koniec.)

GAWĘDZIARZ.

CYGANKA.

(Ciąg dalszy.)

Wojciech dojechawszy do lasu, a nie widząc na brzegu suchych gałęzi, bo broń Boże nie wolno było ściąć siekierą, zapuszczał się w las coraz dalej wązką drożynką, ale las to był nie wielki, a gałęzie wszędzie tak były obłamane, że musiał opuścić się jeszcze niżej pomiędzy świerczynę i olszynę i tam choć nałupać drzazg z suchych pniaków. — Cisnął więc skulonemu zwierzęciu wiązeczkę siana, przywiązał postronek do drzewa i okrywszy swoją szkapinę płachciną, udał się na dół w gąszcz po gałęzie; ale zaledwie uszedł kilkanaście kroków, zdawało mu się, że pomiędzy omarzniętemi gałęziami, dostrzegł dym unoszący się do góry, to go mocno zastanowiło. W tem miejscu i o tej porze, któżby się tu mógł znajdować i ogień palić?

Przystanął więc cokolwiek, namyślając się co ma zrobić, ale nie długie były u niego chwile namysłu, przeżegnawszy się więc, postąpił jeszcze parę kroków i zobaczył szałas zrobiony z gałęzi świerkowych, a przed nim dymiło się kilka dopalających głowni, postąpił więc jeszcze bliżej i zajrzawszy do szałasu stanął jak wryty — pod gałęziami świerczyny, na garstce słomy i mchu, leżała skurczona młoda cyganka, a przy niej dopiero co narodzone dziecię, — lichą swoją płachciną okrywała niemowlę, a drugą ręką przyciskała go do suchej piersi; ale okrycie to nie wystarczało dla nich obojga, biedna więc matka pozbawiała siebie zupełnie odzieży, o otulała małego chłopczyka, którego czarna jak węgiel pałka, jasno pokazywała pochodzenie.

Wojciech nie mógł przemówić słowa na ten widok i nie wiedział co ma począć, ale cyganka zobaczywszy obcego człowieka, dobyła ostatek sił i usiadłszy na ziemi, zaczęła mówić jęczącym głosem:

— Ktokolwiek jesteś mój poczciwy gospodarzu, zlituj się nad biedną, nieszczęśliwą sierotą, a ta Matka Bozka Częstochowska, nagrodzi cię stokrotnie za to, a bydełko twoje stokrotnie się rozmnoży, a pszczoły twoje sto ci rojów wydadzą, a z jednego ziarnka pszenicy będziesz miał cały korzec, a główka nie będzie cię nigdy boleć... i t. p. rzeczy, jak to cyganie mają we

zwyczaju gadać, ale ta mówiąc to, miała łzy w oczach i osłabiona, znowu upadła na ziemię.

— Wojciech poprawił ogień, dorzucił suchych gałęzi i kiedy się te rozpaliły, wyjął flaszeczkę z wódką z torby i podał ją chorej cygance — ta niespodziewała się widać tej pomocy, bo zdziwionem okiem spojrzała na wieśniaka i przyłożywszy szyjkę do ust, w paru łykach wyciągnęła wszystko i rzekła:

— Niech ci Bóg to Najwyższy nadgrodzi, drugi dzień nic nie miałam w ustach, nasi jeszcze od onegdaj wyszli za proszonem, nie widać ich — może ich gdzie przyaresztowali, ja tu sama odbyłam połóg, ale widzę że mi tu przyjdzie i skończyć w tem miejscu.

— A możebyś co zjadła? zapytał się Wojciech sięgając do torby.

— Czy ja bym co zjadła? — powiedziała cyganka, a oczy jej się zaiskrzyły — ja bym kamienie gryzła około siebie, gdybym je miała, patrz nie mam ani kropli pokarmu dla tego niemowlęcia.

Wojciech nie namyślając się ani chwili, podał jej całe swoje śniadanie, ser, chleb i kiełbasę, chociaż sam biedak już od pół roku nie widział kawałka mięsa i zjadł by go był pewnie z ochotą.

— Cyganka jak wilczyca rzuciła się najprzód na mięso, i nie wyszło dwóch pacierzy, a już wytrząsała okruchy z torby i pożerała je z chciwością.

Wojciech stał z założonemi rękoma, ciesząc się tym apetytem cyganki.

Ciepło ognia i pożywienie jakiego jej dostarczył Wojciech, ożywiło cokolwiek nieszczęśliwą, usiadła więc znowu i małą, skostniałą prawie od zimna dziecinę, zaczęła ogrzewać nad ogniem, a ta przeraźliwie zaczęła kwilić. Wojciech głęboko był poruszony tem położeniem, sam doświadczył nędzy w całej sile, umiał ją więc uszanować w swoim bliźnim.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Anioł Pański.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

— PRZEZ —

BAKAŁARZA Z LWIGRODU.

(Dokończenie.)

Ale darmo! Kazimierz już nie był panem siebie; rozpacz a może i namiętność go zaślepiły, obydwie nim rządzą. W pierwszej chwili przeląkł się swych własnych słów, które był dopiero wyrzekł, ale wkrótce zreflektowawszy się, począł się tem pocieszać, że przecie duszy jego jeszcze nikt nie żąda.

— Tego warunku, mówił sobie, żebym został lutrem, nie słyszałem od samego pana Sztolcego; może pan Kurcer się mylił, może z za-

zdrości zmyślił ten warunek, aby mię odstręczyć! Być może, że pan Sztolce nie będzie żądał wyparcia się mojej wiary.

Biedny Kazimierz nie mógł jeszcze przypuścić, aby było prawdą, że za rękę Wilhelminy żądają od niego odstępstwa od wiary świętej; jeszcze łudził się nadzieją! Żeby przecie raz dowiedzieć się prawdy, postanowił uczynić krok stanowczy.

Po południu już nikogo w kantorze się nie spodziewał, ukończywszy pracę, postanowił udać się do samego pana Sztolcego i z nim się rozmówić. Zebrał całą swą odwagę i Boga wezwał na pomoc, bo ta chwila miała stanowić o losie całego jego życia, i o szczęściu lub nieszczęściu jego rodziców!

Przyszedłszy do państwa Sztolców, zastał całą rodzinę w domu. Po krótkiem przywitaniu oświadczył, że chciałby z panem Sztolcem pomówić na osobności. Panna Wilhelmina, widząc poważne oblicze Kazimierza, przeczuwała, że to rzecz o nią idzie, zapłonęła rumieńcem, zbladła, spojrzała raz jeszcze na swego ulubionego, a wziąwszy matkę za rękę, wyszła z pokoju.

Pan Sztolce bardzo uprzejmie prosił Kazimierza, aby mu swoje życzenie wynurzył. Ten bez ogródki rzekł:

— W ważnej przychodzę do pana sprawie. Jestem Polak, więc mówię otwarcie, szczerze. Znana mi przychylność żony i córki pańskiej dla mnie; nadto mówiłem z panem Kurcerem, a ośmielony jego słowami które nie wiem, czy są istotnie prawdziwe, przychodzę prosić pana o rękę panny Wilhelminy.

Na to odrzekł pan Sztolce:

— I ja też panu odpowiem otwarcie, że tak godnego zięcia jak pan, poczytuję sobie za wielkie szczęście i zaszczyt. Przyjmuję pana. Daję posagu gotówką trzydzieści tysięcy talarów, a po naszej śmierci cały majątek spadnie na naszą jedynaczkę. Wiem, że ani memu zakładowi, ani mojemu imieniu nie zrobisz wstydu.

— Nieskończeniem panu zobowiązany za tak przychylną i pomyślną odpowiedź, rzekł na na to Kazimierz, ale nie wiem, czy na tem rzecz skończona. Pan Kurcer wspomniał mi, że pan stawiasz jakiś warunek.

— A tak! rzekł skwapliwie pan Sztolce, musisz pan przyjąć naszą religię.

— Jest to dla mnie warunek niepodobny do wykonania, — odparł Kazimierz; — nie obstawaj pan przy nim. Jeżeli być nie może, aby córka pańska została katoliczką, to niech wreszcie panna Wilhelmina zostanie przy swojej, a ja też przy swojej religii.

— To być nie może! rzekł pan Sztolce. Od dziada pradziada familia Sztolców była luterską.

— A moja, rzekł Kazimierz, od dziada pradziada była katolicką.

— Ja nie odstąpię od swego.

— Panie! przez litość nad własną córką, przez litość wreszcie nad moimi zubożałymi rodzicami, ustąp pan!

— Sądzę, — rzekł na to pan Sztolce, że tem łatwiejszą będzie dla pana ta ofiara, iż ją czynisz dla dopełnienia świętych obowiązków względem swoich rodziców, o których nieszczęściu się dowiedziałem.

— Czyliż nie byłoby to okrucieństwem, — zawołał w zapale Kazimierz, — chcieć korzystać z czyjego nieszczęścia, aby go zmuszać do porzucenia religii?

— Panie Berdysz, odrzekł sucho pan Sztolce, proszę się nie zapominać; nie przystoi mu taka mowa w moim domu. Mówię panu otwarcie. Kiedym pierwszy raz poznał skłonność mojej córki do pana, chciałem go natychmiast wydalić z swego domu;... dziś żałuję, żem tego nie uczynił. Ale interesa moje, pozornie tak świetne, popsuły się były, choć nikt o tem nie wiedział, — ty jeden mógłeś mnie od upadku uratować, i dla tego zatrzymałem cię. Później, kiedym znów stanął na nogi, oddalić cię było za późno; niestety, zbyt ulegałem żonie, a ona swej córce! Nie pozostawało mi, jak zatrzymać cię u siebie, a gdy uczucia mej córki ku tobie się nie zmieniły, przyjąć cię wreszcie za zięcia.

— Ale już z góry wyraźnie zaprzysiągłem żonie, że inaczej tego nie uczynię, jak że ty zostaniesz tu z nami, i że naszę przyjmiesz wiarę. Sam wiesz, że niewielkim jestem obserwantem; nie widziałeś, żebym kiedy szedł do kościoła; ale interesa moje, stósunki, wstyd przed przyjaciołmi, spokój na starość, nie dozwalają mi dla ciebie czynić się wygnańcem we własnem gnieździe. A to przecież pojmujesz, że do waszej pustyni, do waszych dzikich lasów też nie pójdę. — Wreszcie nierozsądny z ciebie człowiek; — przyjmiesz wiarę naszą tak oto dla pozoru, a potem po ślubie rób co ci się podo-

ba, zostań wreszcie znowu katolikiem, — ani się o to będę troszczył. — No! czy zgoda?

Na te słowa weszła matka z córką. Kazimierz spojrzał na pannę Wilhelminę; śmiertelna bladość okrywała jej lica.

— No! czy zgoda? — powtórzył pan Sztolce, oto twoja narzeczona!

Kazimierz na ten widok zadrżał, zbladł, postał chwilkę, a potem nagle zawołał:

— Ojcze mój, matko moja! Straszną dla was czynię ofiarę! i nie pożegnawszy się, wybiegł jakby cały pułk szatanów gonił za nim.

Powrócił do swego mieszkania. Padł na kolana przed obrazem Boga-Rodzicy, patrzał w jej święte oblicze; ale twarz tej Królowej niebieskiej zdawała się zimna i blada, a oko Jej jakoby płakało pod upadkiem jednego z najwierniejszych synów. Klęczał tak dosyć długo, ale nie mógł myśli skópić, ani się modlić. Nie doznawszy więc pociechy, zerwał się Kazimierz i wybiegł na ulicę, ciężko dysząc jak zbrodniarz, którego prowadzą na stracenie. — Bo też w piersiach biednego Kazimierza wrzały burza i zamieć, i miotały nim jak fale morskie małym rzucają statkiem, którego załoga z trwogą i rozpaczą widzi blizką skałę, o którą musi się roztrzaskać i zaginąć w głębokościach morza!

Z początku szedł Kazimierz dość szybko, później zwolnił kroku, stanął i zamyślił się, biegł prędzej i znowu stanął! — nogi drętwiały, siły go opuszczały..... ach! bo szedł do pastora luterskiego, aby się wyrzec wiary ojców swoich, i tem okupić spokój Wilhelminy, i pomyślność swoich rodziców!

Idąc tak niepewnym krokiem, przechodził koło kościoła świętej Jadwigi, do którego tak często chodził, w którym tak często gorące modły do Boga zasełał..... i teraz tego Boga miał się zaprzeć, miał już na całe życie pożegnać się z tą świątynią! I stanął przed bramą kościoła, i oparł rozpaloną głowę o jej drzwi żelazne, — okropny ból uchwycił go za serce, i prawie od zmysłów odchodząc zawołał:

— Boże mój! Boże! Świat mnie porywa, a znikąd porady ni ratunku! Ratuj mnie, Panie!

Wtem usłyszał głos dzwonka, — dzwoniono na „Aniół Pański."

Zerwał się Kazimierz, zdjął czapkę, oko jego wzniosło się ku niebu, złożył ręce, i zawołał:

— Matko Bozka, to głos zmiłowania Twojego! — padł na kolana i zaczął na głos odmawiać „Aniół Pański."

Gdy skończył, odezwał się głos obok niego „Amen!" Obrócił się Kazimierz i ujrzał księdza Marka zalanego łzami. Kazimierz rzucił mu się na szyję, całował ręce jego, i płakał i śmiał się, albowiem czuł się już ocalonym! Ksiądz Marek z zdziwieniem i żalem spoglądał na niego, — nareszcie rzekł:

— Bracie mój! strapione musi być serce twoje. Chodź do mnie i uspokój się!

I poszedł Kazimierz z księdzem Markiem i długo u niego bawił; a kiedy od niego wyszedł, to jakby już nie ten sam: oblicze jego pogodne, oko spokojne, pierś swobodna, krok pewny, — taki wracał do domu.

Ponieważ już było późno, położył się spać. O! jakże spokojnie i smacznie usnął, jakże miłe sny przedstawiały się jego duszy! Obudził się prawie już późno, zeskoczył z łóżka, zmówił poranną modlitwę i jął się ubierać. Ale jak? Poszedł do komody, otworzył szufladę i wyjął zawiniątko, rozwinął je, a polska czamara roztoczyła swoje fałdy, żupan ukazał gęsty rząd guziczków, zabłyszczała srebrna sprzęga u pasa.

O jakże swobodnym czuł się Kazimierz w tym polskim stroju! I poszedł tak do pana Sztolcego. Ten spojrzał zdziwiony na niego, zapomniał języka w gębie, stał z otwartemi ustami i czekał, co mu Kazimierz powie, a ten przemówił do niego w te słowa:

— Przychodzę panu podziękować za wszystko dobre, czegom w jego domu doświadczył, i zarazem oświadczyć, że tak jak pan wiary ojców swoich chcesz nieskazitelnie dochować, tak też i ja moich ojców wiary do śmierci dochowam. Rodziców moich dotknął pożar; idę im dopomódz, opuszczam więc pana i Berlin. Ksiądz Marek da tymczasowo na moje miejsce zastępcę, i zajmie się spieniężeniem niektórych moich ruchomości. Życzę panu szczęśliwego powodzenia, a paniom zasełam ukłony.

Pan Sztolce oniemiał... stał, słowa nie rzekłszy.

Kazimierz pokłonił mu się, odszedł do swego pokoju, wyjął swój tłomoczek, i zapakował co najpotrzebniejsze rzeczy. Tymczasem nadszedł ksiądz Marek; rozmówili się krótko. Kazimierz wziął tłomoczek na plecy, kij w rękę, ucałował ręce kapłana, a wziąwszy jego błogosławieństwo, puścił się w drogę do Ojczyzny.

XV.

Zakończenie.

W małym domku w Górze siedziało sobie wieczorem parę osób naokoło stołu. Starzec z białemi kędziorami na głowie i z kresą na twarzy, widocznie ojciec całego domu; obok niego niewiasta, jego żona, także już w latach kobieta; dalej dziewica młoda i dorodna, a obok niej dziarski, około dwunastoletni chłopiec. Była to rodzina Stefana Berdysza, siedząca przy wieczerzy. Mleko stało na stole w misce, a na niej oparte cztery łyżki i bocheneczek chleba. Podniósł się Stefan, przeżegnał się i wszyscy za nim, a odmówiwszy modlitwę wzięli się do jedzenia. Próżną miskę i okruszyny z chleba sprzątnęła Jadwiga.

Wstawszy od stołu, rzekł stary Stefan: — Jutro spodziewam się listu od Kazimierza; powiedział mi ksiądz Wojciech, że pisał do niego.

— Ach! biedny Kazimierz, rzekła matka, zmartwił się pewno bardzo na wiadomość o naszem nieszczęściu, żeby tylko nie zachorował!

— Niechże go Bóg zachowa! rzekł na to ojciec, — on naszą jedyną pociechą; mając jego, nie czuję mego ubóztwa.

Ledwie co tych słów domawiał, kiedy coś zakołatało do drzwi. Stefan rzekł:

Któżby tak późno nas odwiedzał? Idź, Tadeuszu, zapytaj się.

Wyszedł Tadeusz; za chwilę usłyszano okrzyk jakoby wielkiej radości, a zaraz potem ukazała się we drzwiach postać naszego poczciwego Kazimierza.

— Mój synu! krzyknął Stefan.

— Moje dziecko! zawołała matka.

— Braciszku kochany! krzyknęli — Jadwiga i Tadeusz. — I ściskali się i całowali, płakali, i Bogu dziękowali za tę niespodzianą radość.

Czyjeż pióro zdoła opisać wesele, które w tej małej chacie panowało! Jeszcze tego wieczora całe miasteczko dowiedziało się o powrocie Kazimierza, i kilku sąsiadów i sąsiadek przybyło zaraz powitać go. Cały dom pełen szczęścia i radości. Do północy Kazimierz musiał rozpowiadać o swoich podróżach, przygodach, naukach, zatrudnieniach, — ale o Berlinie jakoś niewiele mówił.

Wkrótce wziął się Kazimierz do podźwignienia domu i gospodarstwa ojcowego. Przywiózł był z sobą około stu talarów, zebranych od różnych dłużników; do tego ksiądz Marek ze sprzedaży jego rzeczy i zaległej pensyi przysłał mu wkrótce około dwieście talarów. Lecz to wszystko jeszcze nie wystarczyło. Pojechał więc ksiądz Wojciech z Kazimierzem do Warszawy do pana Andrzeja. Ten, bardzo ucieszony z przybycia Kazimierza, chętnie przystał na ich prośbę, i dał mu jako pożyczkę dość znaczną sumę.

Przy tej sposobności Kazimierz na chwilkę wstąpił do tokarni pana Karóla. Cóż za radość tam była, gdy go dawni towarzysze zobaczyli, — jakże się szczególniej poczciwy Piotr Stropski ucieszył! Lecz Kazimierz nie miał czasu; przywitał ich i pożegnal — tylko Piotrowi polecił pozdrowić żonę i Zosię, i dodał, że wkrótce ich odwiedzi.

Zaczęto więc budować; sprowadzono cieśli, mularzy i robotników, kupiono parę koni, dwie krówki, i już Stefan z dobrą otuchą i z wesołą miną zaczął na nowo gospodarować. A jeśli kto chwalił jego ładne koniki lub krówki, tedy mawiał: To mój Kazimierz mi je kupił! — Powoli wznosił się dom, powoli wzniosły się i inne zabudowania.

Kazimierz zaś urządził sobie tymczasem mały warsztat. Z początku szło mu, jako nieznanemu, ciężko; lecz skoro się na jego robocie poznano, tyle się zawaliło zamówień do niego, że musiał przyjmować czeladników, aby wszystkiemu podołać. Wreszcie i rodzice i on sam uważał, że miasteczko Góra za małem było dla jego przemysłu i zdolności. Stało się, że Kazimierz urządziwszy ojcu gospodarstwo, przeniósł się do Warszawy i tam założył tokarnią pędzoną przez machinę parową.

Kiedy tak pewnego dnia znużony po pracy, zapisawszy wydatki i dochody dzienne, z zadowolnieniem i dziękczynnem westchnieniem do Boga zamknął swe książki do bióra, przypomniały mu się one chwile, kiedy tak jako pełnomocnik pana Sztolcego cudze sprawy z równą obrabiał gorliwością.

— Co oni tam robią? — pomyślał sobie, — co robi biedna panna Wilhelmina? Czy aby żyje jeszcze?

W tem otworzyły się drzwi, i wszedł listowy Maciej.

— Już ten to musi być dobry; daleko pana szukał! Adresowany do Góry, błądził po

Wielkopolsce, poszedł w Sandomierskie, aż po miesięcznej wędrówce dochodzi dziś pana.

— Czy franko?

— A jakże!

— No, ale weźcie to Macieju na piwo, może dobre jakie nowiny.

Kazimierz odpieczętował, i oto co wyczytał:

„O swojem ożenieniu z Panną Wilhelminą Sztolce ma zaszczyt zawiadomić Szanownego pana

szczery jego przyjaciel

Kurcer."

Spojrzał Kazimierz na datę, — już od sześciu tygodni list pisany.

— A więc, nie umarła, pomyślał sobie i za niego nawet za mąż poszła! — i łza się zakręciła w jego oku, spadła na papier, a z tą łzą spadł też wszystek ciężar z serca Kazimierzowego. I ukląkł, i modlił się gorąco.

I tego samego dnia, kiedy Stropscy razem sobie siedzieli w domku starego garbarza, wszedł Kazimierz z rozpromienioną twarzą. — Zerwała się Zosia, hoża już teraz dziewica, wybiegła mu naprzeciw, ale nawet wstrzymała się zarumieniona po uszy i stanęła zakłopotana, nic nie mówiąc. Kazimierz powitawszy rodziców, zapytał się córki:

— Czy Zosia mnie pamięta jeszcze? Czy nie zapomniała?

— O! nigdy! — odpowiedziała szczerze dziewczyna.

— Kiedy tak, rzekł Kazimierz, to przyszedłem was, drodzy rodzice, prosić o rękę panny Zofii. Dajcie mi ją i przymijcie mnie za syna.

Tak rodzice jak córka z największą radością przyjęli oświadczenie Kazimierza, i myślano już tylko o weselu.

I tak się stało, jak ksiądz Wojciech, ufny w łasce Bożej, był przepowiedział. Pięknego jednego wiosennego poranku wiele wozów zajechało przed nowy, ledwie co ukończony dom Stefana.

Byli to goście przybyli z Warszawy; każdy z nich miał bukiet weselny przy boku. I przybył Kazimierz z swoją narzeczoną Zosią, przyjechali Stropscy, przybył i stary garbarz z swojemi nieodstępnemi stu Krakusami i wielu innych znajomych i towarzyszów Kazimierza.

W izbie czekał na wchodzących Stefan z żoną, świątecznie ubrani. Wszedł Kazimierz z Zosią.... uklękli przed rodzicami,.... a za nimi uklękła druga para, — była to Jadwiga, siostra Kazimierza, i pan Bartłomiej, najdorodniejszy młodzian i jeden z najmajętniejszych gospodarzy miasteczka, — i odebrali błogosławieństwo od rozrzewnionych rodziców.

Kiedy się zabierano już do kościoła, trzpiot Tadeusz nadbiegł do Kazimierza, a uśmiechając się figlarnie zawołał:

— Braciszku, czy mam się przebrać za gila i śpiewać ci w kościele do ślubu?

— Milcz niecnoto, — ofuknął go ojciec rozśmieszony tym żartem, — jeśli nie chcesz, żeby cybuch berliński był w robocie!

Teraz obie pary wraz z całą kalwakadą drużbów i licznych gości zajechały szumnie do kościoła, gdzie ksiądz Wojciech uszczęśliwiony Kazimierzowi z Zosią, a Jadwisi z Bartłomiejem ręce stułą związał, i połączył ich na całe życie świętym węzłem małżeństwa. A potem tak huczne odbyło się wesele, tak obficie było jadła i napoju, tak ochoczo szły śpiewy i tańce, iż po dziś dzień jeszcze komoszki tameczne mają sobie co o niem opowiadać, jako o niezwykłym w ich mieście wypadku.

W krótkim czasie zasłynęła tokarnia Kazimierza na kraj cały, — szło mu wybornie, spłacił długi dla rodziców zaciągnięte, a Bóg mu błogosławił.

Błogosławił mu, bo Kazimierz bał się Boga, miłował rodziców i kochał Ojczyznę; błogosławił mu, bo mimo najtrudniejszych okoliczności zachował obyczaje ojczyste i świętą wiarę ojców swoich.

KONIEC.

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Jen. Sumter zgromadziwszy większy oddział uderzył na Anglików pod Rocky Mount nad rzeką Catawba. Został pobity, lecz uderzył natychmiast na inny oddział pod Hanging Rock, który rozbił. Marion i Pickens byli także zwycięzcami w kilku mniejszych potyczkach.

Naczelnikiem wojsk angielskich na południu był Cornwallis, dowódzcą nad rzeką Sandee lord Rawdon. Ten usłyszawszy że Gates nadchodzi, ściągnął swe wszystkie oddziały do Camden; Cornwallis wyprowadził do niego swój korpus także. Zdarzyło się wtenczas, iż Gates chciał niespodzianie uderzyć na Anglików, ci zaś przygotowywali Amerykanom także niespodziankę. O północy (16 sierpnia 1780) spotkały się obie armie pod Sanders Creek, 7 mil od Camden. Wszczęła się potyczka, która nad ranem zamieniła się w prawdziwą bitwę. Amerykanie po zaciętym oporze, widząc się wziętymi między dwa ognie, musieli uledz. Trzecia ich część — 1000 ludzi — padła, pomiędzy nimi jen. De Kalb. Anglicy, którzy utracili tylko 325 ludzi, zabrali wszelką amunicyę, zasoby i t. d. Amerykanów.

Gates widząc, iż nie może zebrać rozbitków, ubiegł do Charlotte. Nadzieja jego, iż wkrótce zbierze nową armię, spełzła na niczem, bo i oddział jenerała Sumter został także zniszczony nad rzeką Catawba przez korpus Tarletona. Sumter poprzednio był zabrał konwój angielski i dużo jeńców. Dowiedziawszy się o porażce Gates'a, rozłożył się obozem nad Fishing Creek, gdzie go (w dniu 17 sierpnia 1780) napadł Tarleton. Amerykanie utracili 50 w zabitych i 300 zostało wziętych w niewolę.

Zwycięztwo Anglików było zupełnem. Z końcem lata nie było w południowej Carolinie żadnego Amerykanina pod bronią, wyjąwszy oddziału Mariona. W trzech miesiącach zostały dwie armie i jeden korpus partyzancki przez Anglików zniesione.

Dzieje Mariona i jego oddziału tworzą jeden z najbardziej zajmujących epizodów w historyi wojny o niepodległość. Marion był podczas oblężenia Charlestonu w tem mieście, lecz trafunkiem uszedł pojmaniu. Uorganizował następnie, skoro mu się do tego wydarzyła sposobność, mały oddział, na czele którego niepokoił Anglików nad rzeką Peedee. Miejsca by zabrakło, gdybyśmy chcieli opisać wszystkie czyny i awantury Mariona i dzielnego jego oddziału.

Cornwallis pewny, że potęga Anglii w południowej Carolinie jest zabezpieczoną, przysposabiał się do udania do stanów północnych. Udał się nasamprzód do Charlotte, zkąd wysłał kilka oddziałów, które miały dodawać otuchy zwolennikom Anglii a siać przestrach w sercach republikanów.

Jeden z tych oddziałów pod majorem Ferguson, liczący około 1500 ludzi rozłożył się obozem w pagórkach „Kings Mountains" w obrębie Yorkville. Tam zgromadziło się na prędce kilka oddziałów milicyi amerykańskiej, która uderzyła na Anglików. Wszczęła się zacięta potyczka, która się zakończyła porażką Anglików. Feryguon padł i 300 z jego ludzi zostało zabitych lub ranionych. Amerykanie, którzy 20 ludzi tylko utracili, wzięli 800 nieprzyjaciół w niewolę i zabrali 1500 sztuk broni, amunicyę i inne zasoby wojenne.

Na wiadomość tę poczęli się patryoci znów zbierać. Marion bił mniejsze oddziały angielskie, ukazywał się raz tu, drugi raz tam, niepokojąc nieprzyjaciół jak tylko mógł. W południowo-zachodniej części Caroliny robili pułkownicy Pickens i Clarke tak samo, a Sumter okazał się znów w polu

z nowym oddziałem. W skutek tego widział się Cornwallis zmuszonym wyrzec się swego zamiaru udania się do północnych stanów i wrócił do południowych.

Marion ze swym oddziałem odnosił zwycięztwo po zwycięztwie, aż nareszcie powziął zamiar uderzenia na Anglików znajdujących się pod Georgetown, którzy mieli wiele zapasów i żywności, a której brak dał się czuć u jego oddziału. Napad jego nie udał się, gdyż Anglicy byli o nim zawiadomieni. Marion cofnął się następnie do bagnisk nad rzeką Peedee, gdzie było dużo zwierzyny, okopał się jak mógł i dziennie wysyłał mniejsze oddziały, które tak nagle wykonywały swe ruchy, że Anglicy nigdy nie mogli powiedzieć, gdzie się Marion w dniu następnym okaże.

Zobaczmy teraz co się działo w północy. Tu nie zaszło nic szczególnego, wyjąwszy napadu na stany New Jersey. W dniu 6 czerwca wysłał jen. Knyphausen jenerała Matthews z 5000 ludzi do New Jersey. Ten zajął Elizabethtown i spalił wioskę, dzisiejsze miasto Union, poczem udał się w drogę ku Springfield, został zaczepiony przez oddziały Washingtona i zmuszony do odwrotu. W dniu 22 czerwca atoli przybył Clinton z posiłkami, złączył się z Matthews'em i usiłował zniewolić Washingtona do stanowczej bitwy. Clinton rzucił się z Knyphausen'em w 5000 ludzi i 20 armat na Greene'a, lecz Anglicy zostali pobici (pod Springfield 23 czerwca) a spaliwszy miasteczko, cofnęli się do Staten Island.

W kilka dni potem odebrali Amerykanie dobre wiadomości. Znaczna bowiem flota francuzka wioząca 6000 żołnierza, na którego czele stał jen. Rochambeau, przybyła w dniu 10 lipca do Newport w Rhode Island. Przybycie Francuzów zniewoliło Clintona do większej ostrożności. Co zaś nie mógł zrobić przemocą, to usiłował uskutecznić podstępem. Gdy bowiem Francuzi udali się na leże zimowe w Rhode Island, zawiązał Clinton stosunki z Benedyktem Arnoldem, komendantem mocnej twierdzy West Point.

Arnold był odważnym żołnierzem, czego nie raz dał dowody w przeciągu wojny, ale i zarazem złym człowiekiem. Napomniany przez Washingtona pewnego razu za sprzeniewierzenie pieniędzy, tak się czuł obrażonym, iż postanowił się zemścić. Rozpoczął więc rokowania z Clintonem i obiecał wydać West Point, za co miał być mianowany angielskim jenerałem brygady i otrzymać $50,000 gotówką. Pośrednikiem pomiędzy nim a Clintonem był major André, jeneralny adjutant Clintona. André wracając pewnego razu z West Point, gdy już cała sprawa była ukartowaną, został przypadkowo aresztowany przez trzech Amerykanów w Tarrytown i przeszukany, przy czem w jego butach znaleziono papiery zdradzające cały spisek. Pułkownik Jameson, dowódzca oddziału, do którego André'a zaprowadzono, był tak nierozsądnym, iż mu dozwolił napisać list do Arnolda, który naturalnie zaraz czmychnął, pozostawiając swą żonę i młodego syna w West Point.

Nieszczęśliwemu majorowi André wytoczono proces, jako szpiegowi. Pomimo wszelkich zabiegów powieszono go. Washington podpisując wyrok śmierci, zapłakał, lecz nie mógł go ułaskawić, gdyż prawa wojskowe były pod tym względem zbyt surowe.

I znowu upłynął rok a Amerykanie nie byli jeszcze podbici. Anglia zawikłana wskutek wypadków w Ameryce w wojnę z Francyą i Hiszpanią, zaczepiła także Hollandyę, która z kongresem prowadziła tajemne rokowania. Parlament wyznaczył nareszcie niezmierne sumy na rekrutowanie wolontaryuszów, wzmocnienie floty i t. d.

ROZDZIAŁ VIII.

Siódmy rok wojny o niepodległość (1781.)

Na początku roku 1781 wystąpiło 1300 Pennsylvanczyków z szeregów amerykańskich, gdyż przez długi czas nie dostali płacy, a czas ich służby się ukończył. Kongres nie mając pieniędzy pozwolił im się rozejść. Miejsce ich zajęli nowi rekruci. Toż samo chcieli uczynić w dniu 18 stycznia wolontaryusze z New Jersey. Lecz z tymi postąpiono surowiej. Washington wysłał jen. Roberta Howe z 500 ludźmi, który dwóch naczelników buntu kazał powiesić, reszta poddała się. Wypadki te zwróciły uwagę narodu na fakt, że kongres nie posiada w skarbcu pieniędzy. Każdy pospieszał się odtąd płacić nałożone podatki i nawet wpływały do skarbu rozmaite dobrowolne składki. W krótce było tyle pieniędzy w skarbcu, iż można było rozpocząć kampanię roku 1781.

Zdrajca Arnold wstąpił tymczasem w służbę królewską, a udawszy się na czele 1600 Anglików i torysów do zachodniej Virginii, począł niszczyć i palić magazyny amerykańskie w okolicy Richmondu. Amerykanie starali się go schwycić; Lafayette został wysłany przeciw niemu, a część floty francuzkiej została wysłaną do rzeki Elizabett, aby zablokować okręty, któremi dowodził, a gubernator Virginii wyznaczył nawet 5000 gwineów nagrody za schwytanie Arnolda. Nie pomogło to nic. Arnold był odważnym, czujnym i niezmiernie ostróżnym. Flota francuzka została zmuszoną do odwrotu.

(Dalszy ciąg nastąpi).